

### 3. Galęz Jana Mariana (1818—1896), górnika

Najstarszy syn Joachima i Rozalii z Dmochowskich urodził się w 1818 roku w Burcu, na ziemi łukowskiej. Jest przodkiem najliczniej rozgałęzionej rodziny Hemplów. Sam w ubiegłym wieku należał do grona wybitnych Polaków jako uczonego i działacza w dziedzinie górnictwa na terenie Królestwa Kongresowego. W swoich poczynaniach na tym polu był kontynuatorem idei Stanisława Staszica. Znano go nie tylko w Polsce, ale również za granicą, gdzie należał do wielu towarzystw naukowych.

Uwielbiali go górnicy za poczynania mające na celu poprawę warunków ich bytu, a także za odwagę i poświęcenie, kiedy brał udział — jako radca stanu i naczelnik górnictwa w Kongresówce — w akcjach ratowniczych po katastrofach w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego. Pamięć o nim była żywa wśród rzesz górniczych przez wiele lat po jego śmierci.

Jan Marian ukończył Wojewódzką Szkołę Księżych Pijarów w Łukowie w roku 1838 ze specjalizacją techniczną z bardzo dobrymi wynikami. Dowodem szerokich horyzontów jego ojca, byłego oficera, ziemianina i szlachcica, było skierowanie syna do zawodu technicznego, który szlachta niezbyt cenila jako zajęcie mieszczańskie. Świadczyło to o trafnym wyczuciu ducha nadchodzących czasów — „wieku pary i elektryczności”. Po skończeniu szkoły pijarów przez dwa lata kształcił się w Warszawie na kursach technicznych u F. Armińskiego, Frąckiewicza, S. Janickiego i A. Krzyżanowskiego.

W roku 1840 Bank Polski zatrudnił Jana Mariana w charakterze bezpłatnego elewa w kopalni „Reden” w Dąbrowie Górniczej, a potem w dziale miernictwa w sekcji technicznej Banku Polskiego. Na tym stanowisku opracował on po raz pierwszy w Polsce metody markszajderskie (od słowa „der Markscheider” — po niemiecku geometra górniczy) z zastosowaniem teodolitu i rachunku współrzędnych do miernictwa górniczego. W roku 1841 zaczął pracę jako pomocnik inżyniera mierniczego w tej samej kopalni. Po pół roku pracy pod ziemią uległ ciężkiemu wypadkowi. Spuszczając się do kopalni prymitywną windą potracony został rozkołysanym wiadrem, które mu strzaskalo część kości czołowej. Dzięki pomocy doktora Lebruna uszedł z życiem. Udało się brak kości zastąpić złotą

blachą. Aby ją ukryć, zaczesywał na czoło włosy, dające charakterystyczny wygląd na zachowanych fotografiach.

Po rocznej kuracji przystąpił do pracy w kopalni „Niwka”, jako pomocnik mechanika Cuni, zakładającego tam nowoczesne wówczas wentylatory, a następnie, w roku 1842, jako pomocnik inżyniera budowli w Zachodnim Okręgu Górnictwa.

W roku 1843 powołano Jana Mariana na aplikanturę w Departamencie Górniczym w Warszawie, zlecając opracowanie planu rozwoju kopalń węgla w Polsce. W 1847 został p.o. inżyniera w kopalni „Anna” w Dąbrowie, pełniąc jednocześnie obowiązki markszajdera i zastępcy naczelnego zawiadowcy kopalń Okręgu Zachodniego, inżyniera Józefa Cieszkowskiego (z pensją 600 rubli rocznie).

Szczególnie piękny okres w życiu Jana Mariana stanowi jego działalność społeczna, której celem było utworzenie szkoły górniczej, tak potrzebnej po likwidacji w roku 1826 Akademii Górniczej w Kielcach, założonej przez Staszica w 1816. Polskiej młodzieży górniczej fachowa szkoła była tym bardziej potrzebna, że trzy szkoły, które na Śląsku istniały od roku 1806, były pruskie. Chodziło więc o wykształcenie polskiej kadry kierowniczej.

Szkoła górnicza powstawała stopniowo jako wynik obywatelskiego i bezinteresownego czynu Jana Mariana Hempla, który w roku 1850 zorganizował też kursy przygotowawcze. Pierwszy nieoficjalny podręcznik techniki górniczej powstał na podstawie notatek uczniów z wykładów Jana Mariana. Skrypt ten był później wykorzystywany na Wydziale Górnictwa. H. Łabęcki, autor Słownika Górniczego z roku 1868, podaje jako jedno z ważniejszych źródeł wiedzy o górnictwie *Wykład kopalnictwa dla uczniów szkoły górnictwa w Dąbrowie* (w rękopisie). Był to jedyny polski podręcznik aż do ukazania się w roku 1903 książki pt. *Górnictwo* H. Kondratowicza.

Jako administrator kopalń Jan Marian oparł się stanowczo zarządzeniom ówczesnego naczelnika górnictwa Okręgu Zachodniego, odnoszącym się do metod wybierki węgla w kopalni „Reden”, twierdząc, że prowadzą one do pożaru. Został za to przeniesiony do Okręgu Wschodniego z poleceniem przeprowadzenia tam studiów geologicznych. Przy tej okazji opracował z Zeisznerem *Mapę geognostyczną byłego Okręgu Wschodniego*, która ukazała się w roku 1867 w Paryżu w „Annales des



Mines" pod tytułem: *Descriptions géologiques des environs de Kielce, Chenciny et de Malogoszcz situés au centre de la Pologne* z dołączeniem map i przekrojów geologicznych. Był to wynik badań z lat 1857—1860.

Tymczasem w kopalni „Reden” w roku 1860 rzeczywiście wybuchł pożar. Wtedy przeszedł Jan Marian na stanowisko naczelnego zawiadowcy Okręgu Zachodniego do Dąbrowy i z narażeniem własnego życia opanował pożar w kopalni. Zawsze osobiście kierował akcją ratowniczą pod ziemią w przypadkach wymagających ratowania pozostałych w kopalni ludzi.

Powołanie Jana Mariana w roku 1861 na stanowisko naczelnika Górniczego Okręgu Zachodniego uniemożliwiło mu prowadzenie dalszych wykładów w szkole górniczej. Nadal jednak zabiegał, tym razem u przemysłowców, o jej finansowanie. Idea ta została zrealizowana dopiero w trzy lata po jego śmierci. Szkoła rozwijała się i dzięki niej Polacy obejmowali stanowiska kierownicze w górnictwie. Potem popularna „Dąbrowska Sztygarka” stała się ogniskiem działalności wolnościowej i socjalistycznej. Po odzyskaniu niepodległości przybrała nazwę Szkoły Górniczej im. Stanisława Staszica, obecnie przekształcona na Wydział Górniczy Politechniki Śląskiej, przed gmachem której stoi pomnik Stanisława Staszica. Pamięć Jana Mariana Hempla, założyciela tej szkoły w tak niezwykle trudnych warunkach, nie została niestety należycie uczczona.

Szczególnie cenne jest kartograficzne dzieło Jana Mariana *Mapa geognostyczna południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego* wydana w roku 1857 w Warszawie w osiemnastu arkuszach w skali 1:20 000. Wybitni specjaliści niemieccy, tacy jak Carnall i B. Cotty, oraz H. Łabęcki przyznali Janowi Marianowi zasługę odkrycia porfirów i formacji permskiej na obszarze Królestwa Polskiego.

W roku 1868 zwolnił się ze służby rządowej i na przeciąg ośmiu lat objął administrację kopalni siarki hrabiego Ksawerego Pusłowskiego w Czarkowach, którą przebudował i uruchomił. Z tego okresu zachował się do roku 1944 (Powstanie) jego rysunek zatytułowany: *Kopalnia i huta siarkowa w Czarkowach*. Przedstawiał małą drewnianą wieżę wiertniczą, na jej szczycie młotki górnicze, budynek fabryczny i ludzi przy wozie z konikiem. Oto miara dawnego przemysłu!

Wysyłano go za granicę w celu zapoznania się z nowoczesną techniką i tak na przykład w latach 1853 i 1855 udał się na

pruski Śląsk, by zwiedzić fabryki lin drucianych, obejrzeć fabrykację łańcuchów windowych i zapoznać się z płuczkami do galmanu, w roku 1863 pojechał do Francji do zagłębia węglowego, by poznać sposoby wydobywania węgla.

W 1876 powrócił do Dąbrowy i niebawem awansował na naczelnika całego górnictwa rządowego w Królestwie oraz na radcę stanu. Wobec ciężkich materialnych warunków górników opracował projekt górniczej kasy emerytalnej i kasy zapomogowej. Szczególną troską otaczał zawód górnika, czego wynikiem był projekt rządowej szkoły dla sztygarów w Dąbrowie, który wysłał do Petersburga.

Jednocześnie opublikował: *Kilka słów o karcie geognostycznej Roemera oraz Uwagi co do poszukiwania soli kamiennej w granicach Królestwa Polskiego* („Biblioteka Warszawska” 1876, t. I, i 1877, t. III).

W roku 1885 przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Suchedniowa, siedziby zarządu górnictwa, gdzie też osiedlali się górnicy-emeryci.

W późnym wieku jeździł do Zakopanego za poradą doktora Tytusa Chałubińskiego, z którym był w przyjaźni. Było to konieczne dla poratowania płuc po latach pracy w kopalniach. W starości zajmował się rysunkiem, do którego miał talent. Ilustrował wojenne przygody ojca szwoleżera na podstawie jego opowiadań. Miał szerokie zainteresowania intelektualne, o czym świadczyła jego bardzo bogata biblioteka, zawierająca obok dzieł technicznych literaturę piękną, zwłaszcza francuską, oraz cenne starodruki. Spłonęła całkowicie w czasie Powstania Warszawskiego.

Jan Marian zmarł w roku 1896. Był członkiem Towarzystwa Geologicznego w Berlinie, Towarzystwa Górniczego Śląskiego i Cesarskiego Towarzystwa Mineralogicznego w Petersburgu. Odznaczony Orderem Św. Stanisława (1856), Św. Anny III klasy (1861) i II klasy (1866).

Jakie pamiątki pozostały po nim? Jedyny zachowany rysunek to miniaturowy obrazek przedstawiający jego ojca, Joachima, na koniu, po cywilnemu, zapewne z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Na suchedniowskim cmentarzu znajduje się okazały grobowiec Jana Mariana. Jest to kamienna „kaplica” w stylu doryckim, otwarta na boki. Pod dachem znajdowało się piękne popiersie z brązu, które skradziono przed drugą wojną światową. Na bokach cokołu wyrzeźbiono proste narzę-



dzia i przyrządy miernicze górników (może właśnie „markszajderskie”). Przy wejściu do bazyliki Najświętszej Panny Marii Anielskiej w Dąbrowie Górniczej znajduje się duże epitafium: „Byłemu naczelnikowi górnictwa w Królestwie Polskim, inicjatorowi wzniesienia tej świątyni — urzędnicy i robotnicy górnicy.”

Są fotografie z różnych okresów życia, jedna nawet bez owego kosmyka na czole, zapewne sprzed roku 1841. Na innej w galowym stroju górniczym — błyszczące epolety, szabla. Zachowało się tableau „Urzędnicy zakładów i kopalń rządowych w Okręgu Zachodnim” — medaliony 34 współpracowników Jana Mariana, a w środku większy medalion „J. Hempel”. Na owo tableau natrafiono przypadkiem u kowala w Suchedniowie, gdzie fotografia ta służyła jako „dychturka” pod obrazem Matki Boskiej!

Jeden z nielicznych zachowanych egzemplarzy *Mapy geognostycznej południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego* (1857) znajduje się w Muzeum Geologicznym przy Technikum Górniczym w Dąbrowie Górniczej, a w Instytucie Geologicznym w Sosnowcu — oryginał подарowany przez córkę, Barbarę. Pozostał wreszcie urzędowy stan służby od 14 września 1840 w języku rosyjskim oraz skrócony — w polskim.

Wydaje się, iż pamięć o Janie Marianie zaginęła współcześnie w szkolnictwie górniczym i w ogóle w Zagłębiu Dąbrowskim. To wielka niesprawiedliwość!

A tak pisał o Janie Marianie — w nie publikowanej notatce dla Kazimierza Hempla — jego wnuk Józef Zeydler-Zborowski (syn Anastazji, córki Jana Mariana): „...największe bohaterstwo i poświęcenie okazał dziadek, kiedy był już naczelnikiem górnictwa, przy gaszeniu pożarów w kopalniach. We wspomnieniu inżyniera Jurkiewicza o dziadku pisany w roku 1896 czytamy: „Dziś jeszcze starzy górnicy dąbrowscy z głębokim uznaniem wspominają o nieustraszonemu naczelniku, którego wciąż na swym widzieli czele w chwilach największego niebezpieczeństwa i na własnych wielokrotnie wynosili go rękami zemdlonego, na poły uduszonego gazami.”

Oprócz swoich wielkich zasług dla polskiego górnictwa dziadek chciał przeprowadzić różne reformy społeczne — opracował więc projekt kasy górników, kasy wsparcia i ubezpieczenia. Poza tym opracował projekt szkoły sztygarów w Dąbrowie Górniczej, która ta szkoła została założona już po jego

śmierci i istnieje do dnia dzisiejszego. Dziadek nie tylko przeszedł do historii górnictwa polskiego, ale stał się postacią legendarną. Jakieś 20 lat temu [ok. 1925? — K. H.] opowiadał mi inżynier górniczy z Dąbrowy, iż wśród górników (już wnuków, a nawet prawnuków tych, co pracowali z dziadkiem) krąży legenda, że gdy w kopalni ma powstać niebezpieczeństwo, to w jej głębiach pojawia się duch naczelnika z zaczesanymi na czoło włosami, z lampką górniczą w ręku i ostrzega górników przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

A tak pisze Józef Zeydler-Zborowski o pogrzebie swego dziadka: „Jako mały chłopczyk nie byłem na eksportacji ani na pogrzebie z powodu mrozu, ale patrzyłem przez okno i widziałem, jak po bokach długiej drogi od domu do kościoła szedł nieprzeliczony szereg górników w uroczystych strojach, z zapalonymi lampkami w rękach. Był wieczór, długa linia świateł migiała, a środkiem drogi górnicy nieśli trumnę. Leży dziadek na cmentarzu w Suchedniowie. Pomnik postawiła mu moja matka. Podobno ten pomnik rozpada się w gruzy, a brązowe popiersie ukradli.”

A oto słowa Zeydler-Zborowskiego o rodzinie Jana Mariana: „Dziadek nasz był dwa razy żonaty. Po raz pierwszy ożenił się w 1847 roku z Józefą Scholastyką z Weissflocków [widziałem to nazwisko pisane również Weissflog w Polskim Słowniku Biograficznym — Z. J. B.], bezdzietną wdową po Tomaszu Kuczkowskim. Jakkolwiek Kuczkowski nie był naszym krewnym, a tylko powinowatym, to jednak ze względu na to, że w naszej rodzinie odegrał dużą rolę, majątek jego i wiele cennych rzeczy przeszło do nas, a także nie był to człowiek przeciętny — przeto trzeba o nim kilka słów powiedzieć.

Tomasz Kuczkowski herbu Jastrzębiec (stryjeczna linia miała tytuł hrabiowski) był naczelnym lekarzem korpusu litewskiego i lekarzem wielkiego księcia Konstantego, w randze generała. Po wyjściu z wojska był rektorem Akademii Medyko-Chirurgicznej w Wilnie. Pracował naukowo, robił badania w dziedzinie magnetyzmu i pisał o tym rozprawy. Był wolnomularzem wysokiego stopnia. Księżna Puzynina w swoich pamiętnikach pisze dużo i bardzo złośliwie o Kuczkowskim i naszej babce. Te złośliwości wydawca pamiętników opuścił. Ja czytałem je w rękopisie w archiwum Przeździeckich. Kuczkowski umarł w Warszawie w 1843 roku, pozostawiając swojej żonie, a naszej babce, piękny pałac na ulicy Wiejskiej. Pałac ten stał do



czasów Powstania 1944. Front z kolumnadą i lwami był przy wjeździe od strony ulicy Prusa. Duży ogród należał do tego pałacu. Pałac nasz dziadek sprzedał, zostawiając na nim tylko sumy dzieci, to jest mojej matki i waszego ojca [Józefa Tadeusza — Z. J. B.]. Poza tym Kuczkowski zostawił bardzo dużą i cenną bibliotekę (były tam dzieła łacińskie i angielskie z XVI i XVII wieku). Duża część tej biblioteki dostała się do nas, a gdy wyjeżdżaliśmy z Ksan [Kieleckie — majątek Zborowskich — Z. J. B.], oddano ją na przechowanie «zaczemu znajomemu», który skradł co cenniejsze dzieła. Bibliotekę tę, dość zdekompletowaną, ofiarowała moja matka Katolickiemu Uniwersytetowi w Lublinie. Po Kuczkowskim przeszły też do naszej rodziny piękne kryształ, puzdra podróżne, szkatuły, porcelana itp. Częściowo było to u mojej matki, częściowo u waszego ojca. To, co było u nas, przepadło w Powstaniu Warszawskim. Ocalały tylko portrety Kuczkowskiego i naszej babki, które znajdują się u nas [...]. Dziadek nasz z babką, Józefą, zamieszkiwali w Szańkowie koło Dąbrowy Górniczej. Szańków był to piękny pałacyk z kawałkiem gruntu, coś w rodzaju dziesięcioletniej resztówki. Tam chowały się dzieci: Anastazja Zeydler-Zborowska (1848—1927) i Józef Tadeusz (1852—1936).

Po śmierci babki — pisze dalej Zeydler-Zborowski — dziadek przeniósł się do Dąbrowy, a potem do Suchedniowa. Lubił bardzo rysować i malować akwarelą [...]. Obrazki te przepadły w Warszawie [...]. Dziadek bardzo kochał swoje dzieci, a one, nawzajem kochały swego ojca. Matka moja otaczała jego pamięć jakąś religijną czcią, zawsze go wspominała, zawsze był on w jej życiu, tak jak gdyby żył, jak gdyby nie umarł."

Po śmierci pierwszej żony Jan Marian ożenił się powtórnie z Leontyną Zabielską, z którą miał czworo dzieci: Stanisława, Joachima, Różę Szczepanikową, Barbarę Mierzejewską.

Józef Tadeusz (1852—1936), hodowca koni — syn Jana Mariana i Józefy z Weissflocków urodził się 19 marca 1852 roku w Dąbrowie Górniczej. Swoje imiona nosił zapewne na pamiątkę brata swego dziada, Józefa Tadeusza, bolsaterskiego kapitana 16. pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, kawalera *Virtuti Militari*, poległego w ataku na bagnety w obronie mostu na Berezynie w roku 1812.

Przystojny, elegancki, inteligentny i dowcipny, był ulubieńcem kobiet — nawet jako starszy pan, a także cenionym współ-

towarzyszem w sferach należących za jego życia do towarzyskiej śmietanki w Polsce. Znal się świetnie na koniach i był ich doskonałym hodowcą, ale talentów administracyjnych nie miał, co przyczyniło się do wielu kłopotów i zmartwień w jego rodzinie, a także do utraty sporego majątku, który wniosła w posagu jego pierwsza żona.

W roku 1876 Józef Tadeusz ożenił się po raz pierwszy z Heleną Krzyżanowską, córką Hieronima Krzyżanowskiego, autora wielu dzieł prawnych, profesora prawa w Petersburgu, a w latach sześćdziesiątych senatora w Królestwie Kongresowym — i Ludwika z Bentkowskich, córki Feliksa Bentkowskiego, profesora historii powszechnej Uniwersytetu Warszawskiego, autora jednej z pierwszych w polskim piśmiennictwie *Historii literatury polskiej*. Małżeństwo zawarte z wielkiej miłości osiadło na wsi w majątku Prawda koło Stoczka. Prawdę nazywano „złotym jabłkiem”. Przyszłość zapowiadała się pomyślnie, ale tylko zapowiadała.

Wanda Papiewska, ich córka, w nie publikowanych pamiętnikach, tak pisze o tych czasach: „W Prawdzie urodziło się troje mego rodzeństwa: Jan, Ludwina Zeydler-Zborowska i Halina Tolwińska. Po kilku latach ojciec tę dobrą dzierżawę odstąpił panu Kownackiemu (ojcu żony mego ciotecznego brata — Mieczysława Szulca-Holnickiego, właściciela majątku Krzywda — Marii Kownackiej, znanej autorki wielu książek dla dzieci). Rodzice weszli w posiadanie 43-włókowego majątku Horoszczyńska w powiecie bielsko-podlaskim. Majątek ten, nabyty przez dziadka, Hieronima Krzyżanowskiego, był w połowie własnością mojej matki i w połowie jej brata, którego rodzice mieli spłacać. Stało się to wkrótce dużym ciężarem, powodem wielu kłopotów i trudności mojej matki [...]. Dwór w Horoszczyńce pamiętam jako długi parterowy budynek z ganikiem, obrośniętym dzikim winem. Pokoje wydawały mi się ogromne, ale wiem, że były niskie, bo wyprawne tremo mojej matki nie mieściło się i trzeba było odciąć górną galeryjkę. Sufity były z belkami, a więc nie był to dwór wielkopański. Pamiętam duży salon, gdzie stał fortepian i — jak mi się wtedy wydawało — piękne miękkie meble obite aksamitem. Ten salon dobrze pamiętam, bo w nim ostatnio leżała i umarła matka [...]. Ogrodu dobrze nie pamiętam. Wiem, że były duże drzewa i krzaki, w których można było się chować i urządzać różne zabawy. Na środku dużego klombu przed domem stał dziwacz-



ny duży, murowany słup, czterograniasty. Podobno miała być tam umieszczona figura z latarnią, ale nie doszło do zrealizowania tego projektu [...]. Pierwsze moje wspomnienia to smutne przeżycia. Atmosfera tragedii, której doniosłości wtedy nie rozumiałam, ale wyczuwałam nastrój. Pamiętam uczucie lęku przed czymś nie nazwanym, ale bezgranicznie smutnym. Ojciec nagle wyjechał, aby już więcej do nas nie powrócić. Doskonale pamiętam płacz matki. Od tego czasu już nigdy nie widziałam jej wesolej."

Cytowany pamiętnik Wandy Hempel-Papiewskiej to odległa przeszłość, warto zatem może przytoczyć jeszcze kilka wspomnień z życia w Horoszczyńce.

„Pewnym urozmaiceniem naszego spokojnego życia na wsi bywało przybycie do dworu «Węgra». Dlaczego ten człowiek dzwigający na grzbiecie kufer napełniony różnymi towarami nazywał się «Węgier» — tego dotąd nie wiem. Mówił po polsku. Jego przybycie anonsowała nam już przedtem dzieciarnia z czworaków, w wesołych podskokach wpadając do naszej kuchni i piskliwymi głosami wołając jedno przez drugie: «Panenku, Węgier idą!» Nam serca były radośnie, bo to coś w rodzaju święta, napatrzeć się można różnych cudowności, no i podniecała niespokojna ciekawość, co też mameczka nam kupi.

«Węgier» wchodził powoli do stołowego pokoju, odpinał szerokie pasy przytrzymujące mu kufer na plecach i sklepik był otwarty. Sam kufer był lekki, zapewne łubiany, wewnątrz miał dużo przegród z góry wyjmowanych, wypełnionych różnego gatunku towarami, na samym spodzie było zawsze kilka sztuk barwnych perkalików, flanel, chusteczek itp. Matka zaopatrywała się na dłuższy czas w norymberszczyznę, dla nas kupowała zeszyty, ołówki, gumki. W dalszych szufladach były sznury paciorków, jasnych błyszczących, trochę niewymyślnych zabawek i barwne wstążki. Paciorki i wstążki zawsze były potrzebne, bo matka od święta ubierała nas w ludowy, podlaski strój. Białe koszule z szerokimi wyszyciami na ramionach, węższymi na mankietach i kołnierzykach. Ozdoby te były pracowicie haftowane podług wzorów ludowych czerwoną i granatową bawełną. Spódniczka ciemna, samodziałowa, w pasy zielone z czarnym lub granatowa z czarnym, faldowana, no i koniecznie paciorki i wstążki. Te wszystkie dodatki można było nabyć u «Węgra» [...]. Z żalem zegnaliśmy go, gdy nie spiesząc się, zwijał swój sklepik i ścigał pasami. W kuchni czekał na

niego positek. Takie to było w tych odległych czasach zaopatrywanie mieszkańców zapadłych wiosek."

Tak dalej pisze Wanda Papiewska o swoim dzieciństwie:

„W każdym domu obywatelskim była nauczycielka lub nauczyciel, przeważnie student, który ze względów materialnych przerywał studia [...]. Nauczycielki należały poniekąd do rodziny chlebobawców, przeważnie poza nauką pomagając pani domu w zajęciach gospodarskich. Czasem były to istoty nieszczęsne, nie mogące się dalej kształcić, a nie brakowało domów ziemiańskich, w których je źle traktowano. Może w tych czasach powstało przekleństwo — «bodaż byś cudze dzieci uczył». A jednak jakże dużo ówczesne pokolenie zawdzięcza tym rzeczom nauczycielek. W czasach bezwzględnej kursu rusyfikatorskiego, ostrej cenzury książek i pism, tylko temu wychowaniu i nauczaniu domowemu zawdzięczamy znajomość języka polskiego, ojczystej historii i literatury.

I w naszym domu były nauczycielki. Pamiętam tylko jedną, która mnie uczyła, panią Janinę Dorant. Była to osoba niezwyklej dobroci, zawdzięczam jej bardzo dużo. W sercu moim zajmowała pierwsze miejsce po matce.

W naszym domu panował duch patriotyczny. Wspominało się tragedie powstaniowe, prześladowania i męczarnie zadawane Polakom przez «Moskali», zsyłki na Sybir. Napoleon otoczony był jeszcze ciągle aureolą uwielbienia, zaprawionego jednak sporą dozą żalu i rozczarowania. Pokazywano nam potajemnie i objaśniano reprodukcje obrazów Grottgera *Polonia* i *Lituania*. Były one przewożone z «zagranicy», to jest z Krakowa.

Nie było mowy o jakimkolwiek współzyciu z Rosjanami, nie istniały z nimi żadne stosunki towarzyskie. Gdy przyjeżdżał jakiś urzędnik, traktowało się go ściśle urzędowo, a jeśli znał język francuski (wyżsi urzędnicy rosyjscy przeważnie go znali) matka tylko w tym języku rozmawiała z nim. Podkreślało się z godnością i powagą przepaść dzielącą nas, Polaków, od nich — zaborców i prześladowców. Cichy bojkot stosowany był często. Pamiętam chociażby taki drobiazg: Gdy przyjeżdżał gubernator powiatu, domagano się od matki pożyczania karety. Tak się dziwnie składało, że kareta była wtedy zwykle zepsuta, a nasz stangret, Józek (unita), zdejmował od niej koło i chował w słomie, opowiadając przy tej okazji, jak to jego ojca Moskale zatłukli kijami na śmierć za to, że nie chciał iść do cerkwi.